

I'LL BE
THERE
FOR YOU



SANDRA BIEL

I'LL BE
THERE
FOR YOU

SANDRA BIEL

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczyk.pl
Projekt okładki i ilustracje: Sandra Biel – sandrabielarts
Przygotowanie okładki do druku: Justyna Knapik – Justyna.es.grafik
Druk: Abedik SA

Zamówienia hurtowe oraz detaliczne:
Wydawnictwo Kreatywne – <https://www.wydawnictwokreatywne.pl>

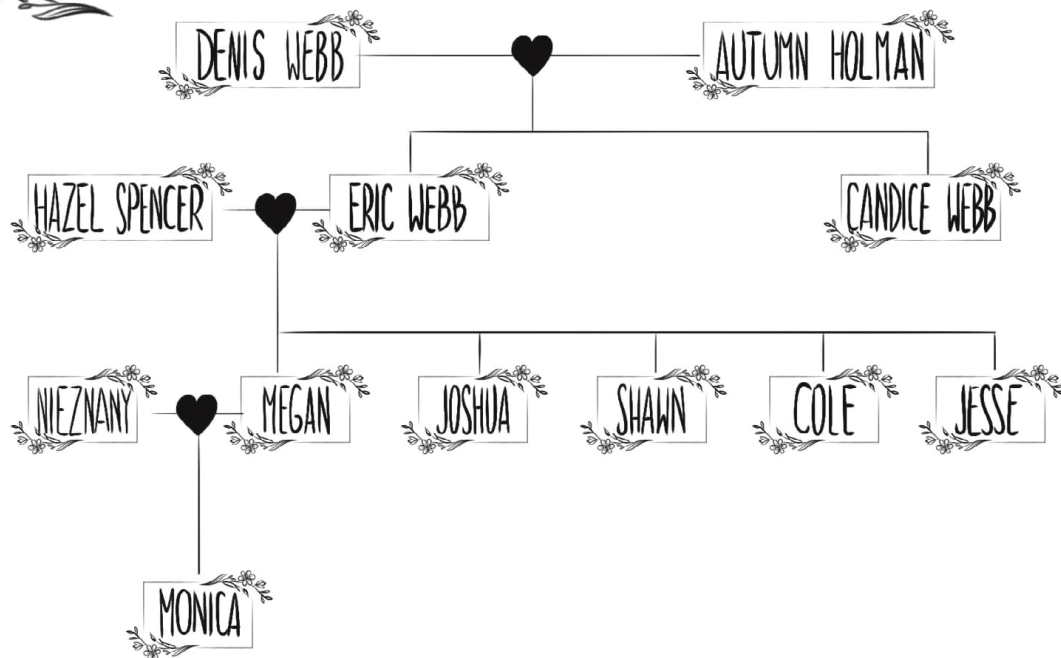
Dystrybutorzy:
Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl>
Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl>

Copyright © Sandra Biel
Copyright © Wydawnictwo Kreatywne

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie
z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów
niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
wydawcy jest zabronione.

Wydanie pierwsze
Bytom 2025
ISBN 978-83-68236-26-2

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY WEBBÓW



*Dla mojej Leny
za to, że ze mną wytrzymujesz.
Dziękuję Ci za wszystko.
Kocham Cię całym sardynowym serduchem.*

Rozdział 1

Może zaprosisz
Chandlera?



Monica

Ten dzień zaczął się okropnie. Po prostu katastrofalnie. Jakby tej jednej gwiazdzistej nocy jakieś siły wyższe, w które nie wierzyłam, nagle zmówiły się przeciwko mnie. A przecież nie zrobiłam niczego złego, żeby zasłużyć na taki przeklęty los!

Gorzej byłoby chyba tylko wtedy, gdyby moja najukochańsza mama wpadła do sypialni i w progu poinformowała, że przez długi ojca musiała mnie sprzedać szefowi lokalnej mafii, samemu Hermanowi Tømmeraasowi. Jednak nie, gdyby właśnie ten scenariusz się ziścił, stałabym się najszczeńliwszą dziewczyną w galaktyce. Taki bieg wydarzeń niestety był niemożliwy. Po pierwsze Herman nie mieszka w pobliżu mojego miasta. Ba, nie znajduje się nawet na tym samym kontynencie i nic go nie łączy z żadną mafią (raczej). Po drugie życie nie przypomina wattpadowych opowieści (stety lub niestety – nie jestem tego pewna, bo niektóre pozycje na tym portalu są genialne, inne...? Powiedzmy, że za nic w świecie nie chciałabym, aby fabuła miała cokolwiek wspólnego z rzeczywistością). Po trzecie nie znam swojego ojca. Po czwarte mamuśka i ogólnie moja rodzinka nie narzekają na niedostatek pieniędzy, więc nigdy by mnie nie sprzedali.

Ten przesiąknięty złem poranek – nie, to wcale nie działo się w poniedziałek, lecz w piątek, na dodatek nie trzynastego,

tylko dziesiątego maja – zwiastował totalnie tragiczny dzień. Owszem, potrafię przyznać, że na samym początku to ja zawiniłam, bo wyłączyłam budzik, zamiast jak zawsze ustawić opcję drzemki. Na swoją obronę dodam, że taki błąd nigdy dotąd mi się nie przydarzył – ale podobno wpadki zdarzają się najlepszym. Sama byłam wpadką, więc może to jakaś sugestia od siły wyższej...? Ale do rzeczy. To nie tak, że zasnęłam – podniosłam się z łóżka dokładnie o tej samej godzinie, o której zawsze wstaję. Tyle że moje wybudzanie się zazwyczaj jest stopniowe. Po pierwszej wwiercającej się w umysł melodii mam dziesięć minut na lekką drzemkę, po kolejnej dawce dźwięków prostujących fałdy mózgowe otwieram oczy i wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał dzień. To mnie wprawia w dobry humor, bo zawsze skupiam się na pozytywnych rzeczach. Po trzecim budziku siadam na materacu i robię mi-nigimnastykę, aby rozruszać krążenie, a przy czwartym w końcu opuszczam swego kochanka (kochanek to łóżko, bo jednak spędzam z nim nocę, lecz nasz związek nie jest zalegalizowany).

Tego cholernego piątku niestety musiałam zerwać się na równe nogi tak nagle, że prawie zemdlałam. A o pozytywnym nastawieniu mogłam zapomnieć.

Kolejną tragedią okazała się szuflada ze skarpetkami, a raczej jej zawartość – konkretniej jej brak. Cóż, w tym przypadku wina znów leżała po mojej stronie... Jakoś tak ostatnio było mi nie po drodze do pralni, a że w tym domu każdy mieszkaniec jest odpowiedzialny za swoje rzeczy, to – podrapałam się po nosie – moje brudne ubrania walały się po podłodze. Oczywiście gdyby nie kolejna zasada panująca w tej kochanej rodzinie, może mama lub babcia suszyłyby mi głowę o zrobienie porządku i wtedy miałabym czyste skarpetki, ale przecież: „Pokój to azył, więc nie naruszamy przestrzeni

osobistej. Jak długo pod łóżkiem nie powstanie nowy gatunek pleśni lub grzyba czy inna niezidentyfikowana forma życia, którą zainteresowaliby się faceci w czerni, nikt nikogo nie będzie przymuszał do sprząwania”.

Wydałam z siebie westchnienie pełne żalu, irytacji i żalości. Takie, którym najchętniej obdarowałoby się osobę działającą nam na nerwy do tego stopnia, że powinna przeprosić drzewa, bo te żmudnie pracują nad produkcją tlenu, który ów człowiek marnuje. I to westchnienie skierowane było tym razem do samej siebie. Przynajmniej w większości, bo ostatnie dwie sekundy rozżalonego wydechu zaadresowałam do czarnych skarpetek. Czystych, wypranych i – co więcej – nigdy nie-noszonych. Wiem, że prawie każdy inny mieszkaniec Ziemi na ten widok by się ucieszył, ale nie ja. Nie nosiłam skarpet do pary. Takie moje małe dziwactwo, że ta część garderoby musiała być niejednakowa. To właśnie kolor skarpet determinował barwy outfitu, na jaki decydowałam się danego dnia.

Wywaliłam nawet szufladę z bielizną i niestety nie znalazłam między majtkami żadnej zbłąkanej pary skarpet. Dlatego moja krzywa mina skwasiała się jeszcze bardziej, gdy – pozostawiona bez wyboru – sięgnęłam po czarną parę. A żeby tradycji stało się zadość, wygrzebałam z szafy szerokie czarne spodnie i koszulę z wysokim, usztywnianym kołnierzem, która dzięki przeróbkom wyglądała, jakby żywcem ściągnięto ją z Karla Lagerfelda. A może nie do końca żywcem? Karl (niech mu ziemia lekką będzie) niestety opuścił na zawsze ten świat. Nie miałam jednak zamiaru zapinać jej pod samą szyję, bo chybabym się udusiła.

Czułam się pokonana, wchodząc z naręczem ubrań do łazienki. Obiecałam sobie, że po szkole wezmę się do porządków w sypialni. To wcale nie tak, że zmarnuję piątkowy

wieczór na sprzątanie, a mogłabym robić coś bardziej eks-
cytującego niż pranie gaci i ścieranie kurzu. Otóż w piątki
w naszym mieście odbywały się wyścigi, na które przycho-
dziła spora część mieszkańców, a przede wszystkim niemal
wszyscy uczniowie z mojej szkoły. Dlatego nikt nie organi-
zował w ten dzień żadnych imprez.

Po jakimś kwadransie wróciłam do pokoju. Podwinęłam
rękawy, związałam włosy w wysoki kucyk i zgarniając po dro-
dze torbę, wyszłam na korytarz. W domu było względnie ci-
cho. Pierwsze dźwięki świadczące o obecności kogoś więcej
dotarły do moich uszu, gdy znajdowałam się już niemal na
samym końcu schodów.

– Mamo, tylko nie to – wymamrotał Jesse głosem pełnym
zrezygnowania, co automatycznie wywołało we mnie niepokój.

Znam go przecież całe życie, skoro jest jedynie cztery mie-
siące starszy ode mnie. On niczym się nigdy nie przejmuje.
Nie tak na poważnie, poważnych problemów zaś, bądź co
bądź, w życiu nie uświadczyl. Jego nieskończone pokłady ra-
dości – i nie do końca przyzwoitego poczucia humoru – po-
zwalały mu się uśmiechać nawet wtedy, gdy wieźliśmy go do
szpitala ze złamaną nogą. Chociaż wiedział, że będzie wyklu-
czony z treningów lacrosse’a przez pół semestru.

– Co się stało? – zapytałam, gdy weszłam do kuchni i za-
jęłam miejsce przy wyspie, zaraz obok Jesse’ego.

Skakałam spojrzeniem między nim a babcią. Im dłużej to
robiłam, tym bardziej narastał mój niepokój. Oboje wyglądali
tak, jakby w porannych wiadomościach dziennikarka poinfor-
mowała o nadchodzącej katastrofie, która może pochłonąć mi-
liony żyć. Dodatkowo żadne z nich nie skomentowało mojego
stroju – z jednej strony to normalne, bo dopóki nasze ubrania
są czyste i przyzwoite, nikt nie strzela niechcianymi uwagami.

Cały czarny outfit był jednak totalnie nie w moim stylu, dlatego spodziewałam się przynajmniej jakiegoś pytania w tej kwestii.

– Wiedźma Candice przylatuje dziś na swojej miotle i ma zamiar cały weekend zatruwać nam powietrze – burknął i przeżegnał się lewą ręką, a na koniec uderzył czołem w blat. Jego przydługie blond włosy rozsypały się dookoła głowy.

Wytrzeszczyłam oczy w przerażeniu i przeniosłam wzrok na babcię, niemo błagając ją, aby powiedziała, że jej najmłodszy syn sobie w tym momencie okrutnie żartuje. Patrząc jednak nie tylko na jej niezadowoloną minę, ale też na to, co się wydarzyło od momentu otwarcia przeze mnie powiek, wiedziałam, że to nie jest dowcip.

Ciotka Candice naprawdę składała nam niechcianą wizytę.

Jak nic nad tym dniem ciążyło fatum.

Moje czarne ubrania idealnie wpasowały się w klimat, bo gdy ona przekroczy próg domu, atmosfera stanie się gęstsza i mroczniejsza niż na stypie.

Niestety dziadek dostał te dobre geny, a jego siostra... Cóż, określenie „wiedźma” i tak stanowi eufemizm.

– Czy możemy wszyscy zniknąć z domu? – zagaiłam prosząco, składając dłonie jak do modlitwy. – Przyjedzie, odbije się od drzwi, po czym wróci do swoich piekielnych czeluści.

O wielki Belzebubie, chyba ktoś uciekł ci z kotła. Proszę, zabierz Candice tam, gdzie jej miejsce.

Babcia zacisnęła usta i przeszła do szafki z lekami, po czym naszykowała dla mnie dawkę witamin. Po chwili podała mi pastylki wraz ze szklanką wody, a następnie zabrała się do przygotowania smoothie między innymi ze szpinakiem i z burakiem. Faj. Ale cóż, taka moja niedola.

– To wciąż jest moja szwagierka – powiedziała bez przekonania, pocierając palcem nos. Ten gest wyrażał, że stara się

ukryć niezadowolenie. – Skoro przyjeżdża teraz, to pewnie odpuści sobie twoje urodziny... – Spojrzenie błękitnych oczu babci padło na mnie. – I wasze zakończenie szkoły. Przynajmniej tych wydarzeń nie popsuje swoją obecnością.

– Mam nadzieję – burknął Jesse, grzebiąc widelcem w jajecznicę. – A co do zakończenia szkoły... – Odsunął talerz, ułożył rękę na blacie i oparł policzek o dłoń, wpatrując się we mnie uważnie. – Do przyszłego tygodnia trzeba zgłosić osobę towarzyszącą na bal. Z kim idziesz? – rzekł podejrzanie niewinnym głosem, ale za dobrze go znałam, żeby się nie domyślić, że coś właśnie kombinował. Może chciał odwrócić moją uwagę? Albo wymyślił coś idiotycznego typu „Przegrałem zakład i muszę z tobą pójść na bal, pokazując, jaka ze mnie oferma. W końcu pójście na taką imprezę z siostrzenicą to taki trochę wstyd”.

– Idę sama – odpowiedziałam, mrużąc oczy. – Przecież wiesz, że nikt...

– Nie można iść samemu – wtrącił, strzelając palcami w sam środek mojego czoła.

– Auć – sapnęłam i potarłam bolącą skórę, po czym wymierzyłam mu kopniaka w piszczel.

– Jak to niby: nie można iść samemu? – zapytałam.

Jesse skrzywił się nieznacznie i przewrócił oczami.

– Bo nasz rocznik jest niewielki i tak sobie zarządzili – odparł luźno.

– Tak sobie zarządzili? – prychnęłam. – Pewnie to pomysł cholernej Chloe – wymamrotałam tak cicho, żeby babcia nie słyszała.

Chloe Rhodes musiała wymyślić coś totalnie idiotycznego. Ona miała z kim iść na bal. Jakżeby inaczej. Kapitanka cheerleaderek i przewodnicząca szkoły musi przecież być z kapitanem szkolnej drużyny futbolowej. Oryginalne.

Jesse przytaknął niemo i poruszał barkami, jakby próbował się rozluźnić.

– Więc...? – zaczął cicho. – Z kim pójdziesz?

Babcia włączyła blender, dlatego nie odpowiedziałam od razu, tylko czekałam, aż w kuchni nastanie względna cisza.

– Harry pójdzie pewnie z Beccą, więc ja z Nancy. Jej też chyba nikt nie zaprosił na bal.

Jesse zaśmiał się nerwowo i podrapał po tyle głowy, na co wystrzeliły w górę brwi nie tylko moje, ale także babci. Patrzyłyśmy na niego pytająco. On i zdenerwowanie – albo nawet odrobina zawstydzienia – nie szły ze sobą w parze. To sprzeczności sugerujące, że został w nocy podmieniony przez kosmitów.

Kim jesteś, impostorze, i co zrobiłeś z moim wujaszkiem?

– Właśnie chciałem zaprosić Nancy, a jeżeli wcześniej się z nią zgadasz, to na pewno mi odmówi – powiedział, wykręcając sobie palce; po pomieszczeniu rozległ się dźwięk przeskakujących stawów.

Aż przeszedł mi po plecach nieprzyjemny dreszcz, a włoski na karku stanęły dęba. Strzelanie stawami wywoływało we mnie te same reakcje, jakie mają inni słuchający drapania po tablicy.

Zapowietrzyłam się na dłuższy moment. To nie było zdziwienie w stylu: „och, nie spodziewałam się dziś kartkówki z fizyki”, lecz bardziej: „jak, u licha, to się stało, że w moim pokoju jest krowa i zjada kwiatki!”.

– Nie! – krzyknęłam spanikowana. – Nie możesz! To moja przyjaciółka, a ty zmieniasz obiekty westchnień częściej niż babcia zastawę obiadową!

– Bo co chwila wszystko tłuczenie – wtrąciła kobieta cicho.

Prychnęłam pod nosem. Akurat mnie rzadko zdarza się coś pośluc.

– Jak cię znam, to coś odwalisz i Nancy nawet nie będzie chciała tu przychodzić! – skończyłam brutalnie przerwana mi przez babcię myśl, wlepiając wściekłe spojrzenie w Jesse’ego.

– Mona, wyluzuj. – Chwycił moje ramiona i lekko mną potrząsnął. Jak ja nim potrząsnę, to zobaczy gwiazdy w środku dnia. – Przecież nie zamierzam się jej oświadczyć. Chcę tylko zaprosić ją na bal.

Przymknęłam powieki i wzięłam trzy głębokie oddechy. Może faktycznie przesadziłam z reakcją? Czyżbym była przewrażliwiona? A może odezwał się we mnie jakiś dziwny matczyzny instynkt w stosunku do Nancy?

Skoro trzeba przyjść na bal w parze, to...

– A jakiś twój kolega nie ma jeszcze partnerki? Z kim ja w takim razie pójdę? – zapytałam i spojrzałam mu w oczy z intensywnością godną chęci dokopania się do jego myśli.

Zrobił minę, jakby zjadł coś nieświeżego i jakby jego wnętrzności boleśnie się wykręciły. Nie udało mi się wejść mu do głowy, więc nie miałam pojęcia, dlaczego tak zareagował.

A może jednak wkradłam się w jego umysł? Nie... Przecież bym wiedziała. No chyba że Jesse ma pusty łeb, więc nawet tego nie zauważyłam.

Po kilku sekundach zrozumiałam, dlaczego się skrzywił.

– Co jest ze mną nie tak, że żaden chłopak nie zwraca na mnie uwagi i nie zaprasza mnie na bal? – wydusiłam.

Domyślałam się, że właśnie o to chodzi. Na pewno nie wszyscy jego koledzy mają kogoś, z kim pójdą na bal, tylko po prostu nikt nie chce pójść ze mną.

– Wszystko jest z tobą w jak najlepszym porządku, kochanie – odezwała się babcia.

– No właśnie – dodał Jesse. – Tyle że chłopcy ze szkoły się boją.

– Mnie się boją? – pisnęłam. – Przecież jestem miła, ładna i dobrze się ubieram. Nie zadzieram nosa! Czego tu się bać? – Wymachiwałam rękami aż do momentu, w którym bezsilnie położyłam ręce na blacie i ukryłam twarz w dłoniach.

– Nie boją się ciebie – powiedział z rozbawieniem. – Ale każdy wie, że twoi starsi wujkowie traktują cię jak oczko w głowie i byłoby zdolni żywcem wyrwać serce z piersi tego, który uczyniłby cię smutną, nie wspominając o większej krzywdzie. I wiesz, że słowo „serce” odnosi się do innego narządu, który faceci bardzo sobie cenią.

Wydałam z siebie głośny, przeciągły jęk pełen rozgoryczenia.

Czekała mnie starość z kotami albo psami. Ewentualnie całym zoo.

– Czyli jestem skazana na samotność – wyburczałam.

– To może zaprosisz Chandlera? – podsunęła delikatnym, cichym głosem babcia.

Wyprostowałam się jak struna, a oczy niemal wypadły mi z orbit. Moje ciało oblał przeraźliwy chłód, zaczynając od czubka głowy i kończąc na palcach stóp. Serce podeszło mi do gardła, jakby chciało uciec, krzycząc wniebogłosy: „Nie piszę się na taką robotę, to za dużo! Nara, radź sobie sama!”.

Chandler Lewis – chłopak, który nigdy nie zniknie z mojego życia.

Okna naszych sypialni znajdują się naprzeciwko siebie. Lata temu pisaliśmy sobie wiadomości na kartkach, jak Taylor Swift i Lucas Till w teledysku *You belong with me*. Aż do czasu, gdy...

Z trudem przełknęłam ogromną gulę i wstrzymałam oddech, mając nadzieję, że się nie rozpłaczę.

– Wiesz przecież, babciu – mruknęłam dopiero wtedy, gdy nabrałam pewności, że mój głos nie zadrży – że już się nie przyjaźnię z Chandlerem. Poza tym na pewno by się nie zgodził. Ma ciekawsze zajęcia niż chodzenie na bale licealne.

Ten chłopak nienawidził mnie od lat. Nie odezwał się do mnie słowem od czasu pogrzebu jego mamy. I mimo że widzę go niemal codziennie, mimo że często wpada do naszego domu, a mamuska traktuje go jak własnego syna, nic mnie z nim nie łączy.

Bo on z mojego życia nie zniknął i nie zniknie, ja zaś w jego świecie nigdy nie istniałam. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi – jakbym była przezroczysta.

– A może to właśnie dobry moment, żebyście się pogodzili?

Pokręciłam głową, starając się zachować w miarę neutralny wyraz twarzy.

– Problem w tym, że my nie jesteśmy pokłóceni. On po prostu... – *Nienawidzi mnie każdą komórką swojego ciała.* – Nie chce się ze mną zadawać. Ma innych przyjaciół – wymamrotałam i chwyciłam witaminy. Po kolei wrzuciłam je między wargi i popiłam wodą, by nie musieć już nic więcej wyjaśniać. Kiedy skończyły mi się tabletki, zabrałam się do picia obrzydliwego smoothie.

– Gdybyś go zaprosiła, toby się zgodził – powiedziała babcia z pewnością. – To było marzenie Annie...

Włożyłam ogromną ilość energii w przełknięcie ostatniego haustu i zatrzymanie go w żołądku, bo na wzmiankę o matce Chandlera zrobiło mi się niedobrze. Przecież to przeze mnie...

– Pomyślę o tym – szepnęłam, by zakończyć ten temat. Oczywiście nie zamierzałam o tym myśleć. Nie istniała siła, która zmusiłaby mnie do rozpatrzenia opcji zaproszenia

Chandlera, ale babcia nie musiała o tym wiedzieć. – To co, jedziemy do szkoły? – Przeniosłam uwagę na Jesse'ego.

– Jeszcze wcześniej.

– Ale Nancy zawsze jest w szkole przed czasem, a przecież chcesz ją zaprosić na bal. Kto wie, czy jakiś inny chłopak nie zdobędzie się na odwagę i cię nie wyprzedzi?

– Jedziemy! – wrzasnął, zerwał się z krzesła i ruszył sprintem do wyjścia. – Pospiesz się, Mona, bo będziesz szła pieszo!

Z cichym oddechem ulgi zsunęłam się z siedziska. Babcia posłała mi spojrzenie mówiące: „wiem, że zrobiłaś to specjalnie, żeby nie rozmawiać o Chandlerze”, a ja udawałam, że absolutnie nie rozumiem, co ma na myśli, i podążyłam za Jessem.

Gdy wyszliśmy na podjazd, miałam ochotę wrócić do rezydencji i zamknąć się w pokoju. Albo stać tak dłużej i przynajmniej z odległości móc się poprzyglądać chłopakowi z domu obok.

Chandler Lewis wchodził właśnie chwiejnym krokiem po schodach do swojego domu.

– On jest pijany – burknęłam. – A wieczorem będzie się ścigał.

Jesse zerknął przez ramię i roześmiał się głośno, zwracając na nas uwagę sąsiada. Mimo że dzieliła nas odległość dobrych kilkunastu jardów, doskonale widziałam ciemnobrązowe oczy – niemal czarne, takie, jakie ma Ben Barnes – skierowane w naszą stronę. A dokładnie na Jesse'ego. Na mnie nawet nie zerknął. Machnął ręką i po chwili zniknął za drzwiami.

– Do wieczora wytrzeźwieje – skwitował Jesse.

Wsiadłam na miejsce pasażera, patrząc z melancholią w kierunku miejsca, w którym jeszcze przed momentem stał mój dawny przyjaciel.

Tęskniłam za nim, ale to nie była tęsknota za latem, zimą ani za zachodem słońca o świcie. To była tęsknota porównywalna do tego, jak ktoś po nagłej utracie wzroku tęskni za możliwością zobaczenia twarzy ukochanej osoby.

Cholernie za nim tęskniłam. Za latami, które minęły i co do których nie było żadnej szansy, aby kiedyś powróciły. Bo przecież nie da się wskrzeszać zmarłych.

Rozdział 2

Trzeba wezwać
braci Winchester



Monica

Czy już wspominałam, że piątek dziesiątego maja to dzień, w którym uwierzyłabym w każdą teorię spiskową? Bo jak miałam nie pomyśleć, że ostatnie szczepionki przeciwko COVID-owi nie zawierały mikroskopijnych chipów, skoro ludzie ze szkoły zachowywali się jak jakieś laboratoryjne małpy poddawane eksperymentom i lobotomii? Owszem, sama się wściekałam przez najnowsze zarządzenie rady szkolnej mówiące, że na tegoroczny bal nie można przyjść solo, ale zachowałam resztki rozumu i nie biegałam po budynku, jakbym miała zatrucie pokarmowe i leciała do toalety.

Panujący na korytarzach chaos przytłaczał do tego stopnia, że postanowiłam umknąć w spokojniejsze miejsce. Na szczęście sala, w której zaczynałam lekcje, była otwarta, więc natychmiast zajęłam swoje stałe miejsce w jednej z ławek.

Do rozpoczęcia zajęć został niecały kwadrans, a ponieważ panna Darwood miała tendencję do spóźniania się, pewnie w ciągu najbliższych kilkunastu minut nikt więcej się nie zjawi.

Wyciągnęłam z torby zeszyt i wyrwałam z niego kartkę. Kręciłam ołówkiem między palcami i zastanawiałam się, kogo zaprosić na bal. Chciałam na niego pójść, nie mogłam zrezygnować przez taką błahostkę jak brak partnera.

Może powinnam uderzyć do Cole'a? Po pierwsze potrafi tańczyć, i to naprawdę dobrze, co automatycznie oznaczało, że świetnie bym się bawiła. Po drugie raczej nie odmówi swojej ulubionej – jedynej i niepowtarzalnej – siostrzenicy.

Nawet nie rozpatrywałam opcji zaproszenia kogoś ze szkoły, bo wiedziałam, że Jesse nie kłamie. Faceci bali się nawiązywać ze mną bliższe kontakty ze względu na moich wujków, a szczególnie Josha – policjanta.

Mimo że usilnie starałam się nie dopuszczać do siebie wizji Chandlera, cały czas pojawiał się w mojej głowie. Wpełzał do niej niechciany, jakby znał każdą szczelinę, przez którą mógł się przecisnąć, a później nie potrafił wyjść. Jak upierdliwa mucha, która wpadnie przez uchylone okno, ale przez otwarte na oścież już nie potrafi wylecieć.

Wkurzał mnie tym, że nie potrafiłam przestać o nim myśleć. Szczególnie po dzisiejszym poranku. Zaczynałam się martwić, że przez upojenie alkoholowe wyrządzi sobie krzywdę na ulicy. Może powinnam powiedzieć o tym jego ojcu, żeby zabronił mu dziś się ścigać?

Pokręciłam głową na samą siebie i swoje głupie pomysły. Przecież Chandler był dorosły i nie miał zamiaru słuchać ojca w tego typu kwestiach.

Została mi jeszcze jedna opcja – nakablować Joshowi o zaistniałej sytuacji. Zazwyczaj i tak był delegowany na służbie do pilnowania porządku podczas wyścigów. Mógłby zrobić wyrywkową kontrolę trzeźwości i skonfiskować Chandlerowi kluczyki do motocykla.

Właśnie przerabiałam w myślach wszystkie za i przeciw, gdy do klasy wpadła Nancy.

– Nica! Nica! Nica! Wiesz, co się właśnie wydarzyło?! – zapiszczała podniecona i z takim impetem dopadła do swojego

krzesła, że niemal się przewróciła. Z godnością utrzymała jednak równowagę, wbijając w moją twarz te swoje roziskrzane niebieskie oczy. – Jesse zaprosił mnie na bal! Myślałam, że to się nigdy nie stanie.

Skrzywiłam się w duchu. Nie od dziś wiedziałam, że Nancy jest w nim zauroczona, lecz on raczej nie odwzajemniał jej uczuć. Chciał iść na bal i potrzebował partnerki. Poszedł po linii najmniejszego oporu, wybierając ze wszystkich uczennic właśnie ją. Jeśli ten idiota złamie jej serce, osobiście będę podrzucać mu do śniadania środki przeczyszczające.

Przyjaciółka w kółko powtarzała, jak bardzo się cieszy. Aż podskakiwała rozemocjonowana na krześle, które chyba było już na skraju wytrzymałości. Jeszcze kilka radosnych podskoków, a Nancy skończy z obitym tyłkiem na podłodze.

– A ty co się tak cieszysz? – zapytał Harry, wchodząc do pomieszczenia razem z Beccą.

Może jednak ten dzień nie był totalnie beznadziejny. Ich pojawienie się uchroniło mnie przed udawaniem radości ze szczęścia Nancy.

– Idę na bal z Jessem!

Brwi chłopaka powędrowały pod samą linię brązowych włosów. Wlepił wzrok we mnie, a ja jedynie niezręcznie wzruszyłam ramionami. Wychodziło na to, że nie tylko mnie przerażał taki obrót sprawy. Ale co mogłam zrobić? Najwyżej suszyć głowę wujaszkwowi, żeby nie dawał mojej przyjaciółce złudnych nadziei.

– Musimy skoczyć po sukienkę. – Entuzjazm Nancy nie opadł ani odrobinę. Nie zmąciło go nawet ostre, głośne wciągnięcie powietrza do płuc przez Beccę. – Może dziś po szkole?

– W ciągu ostatnich trzech miesięcy kupiłaś pięć sukienek! – warknęła Becca, siadając w ławce przed nami, a Harry

staął przy dziewczynie. W sumie go podsiadła, bo to jego miejsce, a ona przecież nie miała z nami literatury i powinna iść na fizykę.

– No ale...

– Nie. Musisz się nauczyć zarządzania pieniędzmi, inaczej umrzesz na studiach. – Becca weszła w rolę starszej siostry. Zgromiła Nancy nie tylko słowem, ale również spojrzeniem. – Wydasz wszystko pierwszego dnia, i to zapewne na rzeczy totalnie zbędne.

Dziewczyny prowadziły zażartą przepychankę słowną, w której nie zamierzałam brać udziału. Co jak co, ale nastawiałam się na spotkanie z wiedźmą, więc nie potrzebowałam tego dnia więcej dramatów. Miałam dopiero siedemnaście lat – dobrze, prawie osiemnaście – i nie chciałam zacząć w tym wieku siwieć.

Harry też nie był zainteresowany kłótnią. Podeszedł do mojej ławki i usiadł na jej skraju.

– Z kim idziesz na bal? – zapytał z zaciekawieniem wymalowanym na twarzy.

Wydełam wargi i poruszałam nimi na boki, kończąc teatralnym westchnieniem.

– Zaprosiłabym ciebie, gdybyś nie miał dziewczyny – żartowałam.

– Przecież nie mam dziewczyny – odparł podniesionym tonem.

Prychnęłam i przesunęłam wzrok na Rebeccę. Nie dość, że wyczuła na sobie moje spojrzenie, to jeszcze usłyszała, co powiedziałam do Harry'ego.

– Monica! – Wysyczała moje pełne imię, więc musiała się mocno wkurzyć. – Ile razy mamy powtarzać, że nie jesteśmy parą, tylko przyjaciółmi!? – oburzyła się totalnie niesłusznie.

Nawet Nancy ją wyśmiała, nie przejmując się zabójczym spojrzeniem, jakie postali jej nasi przyjaciele.

– Na bal idziecie razem, prawda? – zapytałam, wymownie akcentując każde słowo. Tym razem to we mnie strzelili wzburzonym wzrokiem.

– Idziemy razem, bo jakbyś zapomniała, nie można iść samemu. – Becca wstała i ruszyła w stronę drzwi. Tak, najłatwiej uciąć temat.

Harry usiadł na swoim miejscu, nawet nie zerkając na mnie ani na Nancy.

– Wiesz... – odezwałam się cicho. – Nie mówimy wam tego na złość, po prostu chcemy, żebyście w końcu zrozumieli, że już od jakiegoś czasu czujecie do siebie coś więcej. Chyba żadne z was nie chce się do tego przyznać, bo się boicie, że wszystko zepsujecie wyznaniem miłości.

Nancy pokiwała głową, a Harry mruknął coś niezrozumiałego, ale najwidoczniej nie miał ochoty ciągnąć tej rozmowy. Dlatego zwróciłam się do przyjaciółki:

– Pomysł z kupnem kolejnej sukienki naprawdę jest bezsensowny, ale możemy po szkole gdzieś razem wyskoczyć. Im później wrócę do domu, tym lepiej. Candice przyjeżdża na weekend, dlatego sama rozumiesz...

Skwasiała minę, ale po chwili rozpromieniła się tak bardzo, że gdyby trwała noc, dziewczyna rozświetliłaby pomieszczenie jaśniej niż słońce.

– A Jesse do nas dołączy? – zagadnęła, wachlując długimi rękami i zaplatając na palec pukiel jasnych włosów.

Nie zdążyłam nawet rozchylić ust, bo nagle uderzyła się otwartą dłonią w czoło, a po sali rozniosło się echo plaśnięcia.

– Jejku, przez to wszystko zapomniałam, że dziś piątek i wyścigi – powiedziała przepraszającym tonem, przez co

nabrałam pewności, że ze wspólnego popołudnia nici. – Muszę się przyszykować, więc może jutro gdzieś wyskoczymy? Bo chyba nie wybierasz się na...

– Nie wybieram się – burknęłam i przycisnęłam plecy do oparcia krzesła.

– Ej, ale w sumie mogłabyś zaprosić Lewisa.

Spojrzałam na nią jak Mufasa na Skazę, gdy ten drugi zrzucił pierwszego ze skały. I ona przeciwko mnie? Taka zdrada? Sztylet wbity w serce przez przyjaciółkę zdawał się wyciągać moje chęci do życia. Czemu wszystko i wszyscy zmówili się przeciwko mnie? Ktoś musiał rzucić dziś kłamstwo. Jak nic, to wiedźma Candice – przecież mnie nie lubiła najbardziej.

Aż dziwne, że ten przeklęty piątek nie był piątkiem trzynastego.



Opuściliśmy z Jessem szkolny parking jako ostatni. Pogrzeżyłam się tak głęboko w natarczywych myślach, że nie byłam w stanie nawet rozpocząć tyrady na temat Nancy. Każda wizyta Candice łączyła się z kłótnią, bierną agresją i wypominaniem rzekomych błędów moich dziadków oraz mamy. Według ciotki matka powinna mnie usunąć lub – w ostateczności – oddać do adopcji. Nie powiem, jej słowa zawsze bolały, mimo że nigdy, ale to nigdy, nawet przez ułamek sekundy nie poczułam, żeby mama żałowała urodzenia mnie.

Gdy znaleźliśmy się pod domem, nie miałam najmniejszej ochoty wysiadać z samochodu.

– No to co, młoda? Gotowa na spotkanie z wcieleniem zła?

– Na to nigdy nie będę gotowa – wymamrotałam. – Może się gdzieś zaszyjemy i wrócimy w niedzielę wieczorem? – zapytałam z nadzieją, że właśnie to zrobimy.

Ale wtedy nie mogłabym nazwać tego dnia przeklętym, prawda?

– Nie chcę zostawiać reszty na pożarcie tej żądnej krwi karykatury.

Wzięłam głęboki wdech i kiwnęłam głową, przyznając mu rację. Wysiedliśmy i z nietęgimi minami ruszyliśmy do drzwi. Porsche Candice zajmowało znaczną część podjazdu. I to nie tak, że było z tych większych. Ona po prostu nie umiała parkować. Co więcej, nie wiem nawet, kto jej dał prawo jazdy – stawiam samego szatana, ona nie ma innych znajomych oprócz tych z piekła.

Tuż przed wejściem do domu Jesse znów przeżegnał się lewą ręką, a ja poprawiałam kołnierz koszuli.

– Czas na przedstawienie – burknął i nacisnął klamkę.

– Raczej tragedię w pięciu aktach.

Wkroczyliśmy do środka i niczym za dotknięciem magicznej różdżki – choć adekwatniejszym porównaniem byłoby: jak za pstryknięciem palcami w rękawicy z kamieniami nieskończoności – powietrze naszej pięknej rezydencji stało się toksycznymi oparami wywołującymi duszności, nudności i palpitacje serca.

Nie zdążyliśmy jeszcze wejść w głąb domu, a do naszych uszu dotarł skrzek, od którego na ciele pojawiała się gęsia skórka – ta nieprzyjemna, oznaczająca, że obserwuje nas jakaś siła nieczysta i czym prędzej trzeba wezwać braci Winchester*.

* Bracia Winchester – bohaterowie serialu *Nie z tego świata* zajmujący się polowaniem na istoty paranormalne, demony itp. (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

I... cholera, przed wyjazdem do szkoły mogłam obsypać rezydencję solą kosztowną, może wtedy Candice nie przekroczyłaby progu.

– Ale tu nie ma o czym dyskutować. Albo wypłata dla zarządu będzie wyższa, albo sprzedam swoje udziały, ale na pewno nie tobie.

Przymknęłam powieki i ostatkiem sił powstrzymałam się przed zawróceniem. Naprawdę musiała znów rzucać się o pieniądze? Nie dość, że nic nie robiła – dziadek trzymał wszystko w ryzach, rozwijał firmę bez jej najmniejszej pomocy – to jeszcze uważała, że cokolwiek jej się należy.

– Dzień dobry, ukochana cioteczko! – krzyknął Jesse głosem pełnym ironii, której Candice nie zrozumie, ale dzięki której może zmieni temat.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry – odparła, patrząc na chłopaka. Po chwili przeniosła na mnie zimne jak lód, obrzydliwe spojrzenie. – A ty? W żałobie raczej nie jesteś, więc w czarnych ubraniach pewnie próbujesz zatuszować nadwagę.

Dziadek zazgrzytał zębami, wpatrując się w siostrę z wściekłością. Babcia była na skraju – doskonale widziałam, jak szybko faluje jej klatka piersiowa. Mama zaciskała pięści, a Josh, Shawn i Cole napięli mięśnie, jakby byli gotowi do ataku i rozszarpania Candice gołymi rękami. Mimo że moja dusza cieszyłaby się na widok rozczłonkowanego ciała znienawidzonej ciotki, nie chciałam się stać kością niezgody w tym sporze. Skoro i tak według niej to ja byłam tą najgorszą, niech już tak zostanie.

– Ubrałam się tak specjalnie dla ciebie. Czy twoja wizyta nie ma na celu poinformowania nas, że umierasz, bo zatruciś się własnym jadem? – rzekłam milutkim głosem.

Nie spodziewałam się żadnej reprimendy ani od dziadków, ani tym bardziej od mamy. Oczywiście, uczyli nas szacunku do innych, ale też podkreślali, że należy się on tym, którzy i nas szanują.

– Więc jestem już gotowa na twój pogrzeb. – Wymusiłam szeroki uśmiech i podeszłam do stołu. Zaraz za mną dreptał Jesse, chrumkając cicho. Chyba powstrzymywał się od śmiechu.

Zajęłam miejsce najbardziej oddalone od Candice, licząc na to, że nie dosięgnie mnie jej trujący oddech. Choć wciągnęła powietrze i nie wypuszczała go przez kilka chwil, niemal purpurowiejąc na twarzy.

– Mówiłam, że ten niewychowany bachor nie powinien nosić naszego nazwiska! – wypluła z nienawiścią, ale niczym nowym mnie nie zaskoczyła. – Tylko wstyd przynosi naszej rodzinie.

Fakt, znów poczułam ukłucie bólu, zresztą już kolejne – pierwsze było przy stwierdzeniu o mojej rzekomej nadwadze ukrywanej pod ubraniami. Może i nie nosiłam rozmiaru zero, jak ciotka przez większość lat młodości, lecz byłam w miarę szczupła. Mimo to jej słowa bolały, a ja natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy wystarczyłoby zrezygnować z pączków, żeby trochę schudnąć.

Ktoś uderzył pięścią w stół, ktoś inny wydał z siebie warknięcie pełne agresji, a jeszcze ktoś syknął złowrogo. Nie przyglądałam się, kto i co dokładnie robił – siedziałam z przymkniętymi powiekami i starałam się zapanować nad oddechem.

– Jeszcze raz odezwiesz się w ten sposób do mojej wnuczki, a opuścisz ten dom i nigdy więcej do niego nie wejdiesz – zagrzmiał groźnie dziadek. Nigdy nie użył takiego tonu w stosunku do mnie, babci ani pozostałych. Jakby ten cholernie

chłodny i zdystansowany głos był przeznaczony wyłącznie dla Candice.

Ciotka prychnęła i teatralnie odwróciła głowę. Teraz co najwyżej zaczną się bierna agresja z jej strony lub dwuznaczne komplementy. Albo jedno i drugie.

Przez dobrych kilka minut jednak przy stole panowała zupełna cisza. Nikt nie był w humorze do rozmowy, a dodatkowo... o czym można dyskutować przy Candice?

Josh podniósł się z krzesła i ruszył do kuchni, a za nim zerwała się z siedzenia babcia.

– Z obiadem powinna pomagać Monica, nie Joshua. Jeśli nie nauczył się gotować, zostanie starą panną.

Zacisnęłam usta i zwinęłam dłonie w pięści. Ta kobieta wyzwała we mnie mordercze zapędy.

– Mówisz ze swojego doświadczenia, ciociu? – zapytał z rozbawieniem Shawn. – Ach nie, ty potrafisz gotować, taka chudziutka jesteś, ale i tak nie znalazłaś męża. – Zacmokał arogancko. – Więc lepiej nie dawaj rad sercowych, bo nikt nie chce mieć takiego życia miłosnego jak twoje.

Pomieszczenie wypełnił dźwięk zbiorowego śmiechu, a Candice znów się zapowietrzyła. Gdyby nie zepsuty humor, pewnie chichotałabym razem z nimi, ale jedyne, co umiałam wtedy zrobić, to unieść kąciki ust.

W takich chwilach jeszcze bardziej doceniałam moją wspaniałą rodzinę – ciotki nie zaliczałam do rodziny, przynajmniej nie tej najbliższej.

– Och, Shawn, lepiej będzie, jeśli Monica pójdzie w moje ślady, inaczej skończy jako nastoletnia matka, która nawet nie zna imienia tego, co jej zrobił bachora.

– Josh! – wrzasnął Cole, z impetem podnosząc się z krzesła. – Jak ją uciszę siłą, to będziesz musiał mnie zamknąć?!

Dziadek nawet nie drgnął. Candice za to niemal wtopiła plecy w oparcie, a jej jasne oczy błysnęły przerażeniem.

– Nie! Nie jestem na służbie. Nic nie widzę, nic nie słyszę! W razie czego kajdanki są w kieszeni w kurtce!

– Eric! – pisnęła ciotka. – Chyba nie pozwolisz swoim synom tak mnie traktować?!

Ojej, najbardziej poszkodowana, taka uciśniona biedaczka. Może w innych okolicznościach byłoby mi jej żal...

Nie, obojętnie, jakie okoliczności by zaistniały. Nie będę jej współczuć.

– Ostrzegałem – mruknął dziadek. – Jeżeli zjawiłaś się tu tylko po to, żeby nas obrażać, to możesz już wracać tam, skąd przyszłaś.

– Do piekła. – Jesse próbował zatuszować kaszlnięciem to, co powiedział, ale średnio mu wyszło.

Candice tego nie skomentowała, bo akurat Jesse'ego lubiła. O ile wiedźma jest zdolna kogoś darzyć sympatią. Może lepszym określeniem byłoby: Jesse'ego nienawidziła najmniej.

– Mona! Chodź na momencik, proszę! – zawołała mama z kuchni, a ja z ulgą odeszłam od stołu. Przynajmniej przez krótką chwilę będę mogła oddychać w miarę czystym powietrzem.

Stałam w progu, oparłam się biodrem o wyspę i spojrzałam na mamę.

– Co tam? W czymś wam pomóc? – zapytałam. Na twarzy mamity pojawił się tajemniczy uśmiešek.

Przysunęła w moją stronę siatkę z pudełkami do przechowywania jedzenia i już wiedziałam...

– Zaniesiesz to do Lewisów, dobrze? Możesz nawet posiedzieć trochę z Chandlerem. Unikniesz obiadu z ciotką i przy okazji porozmawiasz z nim o balu.

Fuknęłam i skrzyżowałam ramiona na piersi, starając się ukryć rozżalenie, ale też... ekscytację? Radość? Nie wiedziałam, co tak naprawdę czułam w tym momencie. Chciałam móc nazywać Chandlera przyjacielem, naprawdę niewyobrażalnie za nim tęskniłam. Jednak... A co, jeśli zobaczę w jego oczach nienawiść? Jeśli to będzie dla mnie za dużo? Bolały mnie jego obojętność i traktowanie jak powietrze, ale to chyba lepsze niż zięjące z jego spojrzenia wrogość i obrzydzenie.

– A nie mogą tego zrobić Jesse albo Cole? – burknęłam. – Nie zamierzam zapraszać go na bal. Czemu w ogóle...

– Kochanie, najwyższy czas, żebyście zakopali topór wojenny. Wiem, jak bardzo chcesz iść na bal, i wiem, że musisz mieć osobę towarzyszącą, więc bez ociągania się. – Podechnęła mi reklamówkę niemal pod nos. – Proszę, idź do niego.

A może właśnie powinnam zanieść ten cholerny obiad? Może potrzebuję oficjalnego zakończenia naszej znajomości, by ruszyć dalej?

Skoro ten dzień zaczął się tragicznie i przebiegał koszmarne, to powinien się zakończyć spektakularnie źle.

Uśmiechnęłam się krzywo do mamy, chwyciłam foliówkę i ruszyłam na spotkanie z Chandlerem – niegdyś najbliższym mi człowiekiem – Lewisem.

Rozdział 3

Może nie wszystko
było stracone?



Monica

Naszą rezydencję i dom Lewisów dzielił niewielki kawałek. Niegdyś sąsiedni budynek był po prostu naszym domkiem gościnnym, ale dziadek oddał go Annie i Masonowi, chcąc pomóc najlepszej przyjaciółce swojej córki. Pomimo nieznaczej odległości przemierzałam tę drogę dobre dwadzieścia minut. Kilka razy zawracałam spod samych drzwi albo wchodziłam po dwóch niewielkich stopniach i zaraz schodziłam.

W moim umyśle panował istny chaos. Nadzieja, że wszystko skończy się dobrze, walczyła ze strachem, że to będzie definitywny koniec bez szans na odbudowanie naszej relacji. Kaplica, *finito, the end*. Przebierałam nogami wte i wewte, nie wiedząc, co zrobić. Iść czy wrócić do siebie? Może zostawić obiad pod drzwiami, zadzwonić i zwać? A może wysłać mu wiadomość?

Dodatkowo jakiś nieznany mi samochód stał zaparkowany przy płocie, więc Chandler prawdopodobnie miał gości – jego ojca nie było na pewno. Dlatego tym bardziej nie chciałam składać mu wizyty niespodzianki.

Kiedy stałam się takim tchórzem? Pokręciłam głową. Mało brakowało, a wyrosłyby mi pióra, zamiast twarzy miałabym dziób i mogłabym z głośnym gdakaniem zamienić się w strachliwego kurczaka. A później tylko usiąść na grzędzie i składać jajka.

Wzięłam głęboki wdech, wypięłam pierś i ruszyłam z wysoko uniesionym podbródkiem do drzwi, bo przecież odwaga to moje drugie imię. W sumie to nie, ale jakoś musiałam nabrać pewności, że dobrze postępuję. Zapukałam, a moje serce chciało wyskoczyć gardłem. Zignorowałam to nieprzyjemne uczucie i ani myślałam o ucieczce. Przez kilkanaście sekund nie słyszałam żadnego poruszenia, dlatego nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Mama również tak robiła, zresztą Lewisowie też mogli do nas wchodzić bez zaproszenia, więc nie uznałam tego za przekroczenie granicy. W końcu nie wchodziłam z buta do czyjejś sypialni, prawda?

– Chandler! – krzyknęłam tuż po przekroczeniu progu, a mój głos mocno zadrżał. Nie zwracałam się bezpośrednio do chłopaka już od kilku ładnych lat i nie powiem, jego imię w tym momencie dziwnie brzmiało w moich ustach. – Przyniosłam obiad! Zostawię go w kuchni i wychodzę!

To było najbezpieczniejsze wyjście ze wszystkich, żeby nie stanąć z nim twarzą w twarz, szczególnie że ręce trzęsły mi się jak alkoholikowi na kacu, a w głowie szumiała krew od nadmiaru emocji.

Nie byłam tu od pięciu lat, mimo to znałam każdy zakamarek na pamięć. Nic się nie zmieniło. Nawet beżowy kolor ścian wyglądał identycznie jak kiedyś. Ozdoby i zdjęcia stały w tych samych miejscach. Zapewne dlatego, że wystrój wnętrza stanowił dzieło Annie i w ten sposób mogli wciąż czuć jej obecność...

Skreśliłam w stronę salonu połączonego z kuchnią i stanęłam jak wryta. Wydawało mi się, że ktoś wyssał całe powietrze z pomieszczenia. Nie mogłam wziąć oddechu, patrząc na scenę przed sobą. Czas zwolnił, a umysł zaczęły zalewać wspomnienia krzyków, paniki i huków. Jednocześnie skupiałam

uwagę na trzech mężczyznach. Chandler odwrócił głowę, a w jego ciemnych oczach błysnęła panika, przez co nie tylko trzęsły mi się ręce – już cała się telepałam. Przerazenie uderzyło we mnie podwójnie wywołane powrotem scen z przeszłości i tymi cholernymi pistoletami, które trzymali faceci.

Chyba upuściłam reklamówkę, ale nie miałam pewności. Nie panowałam nad ciałem ani umysłem. Tragiczne wspomnienia zdawały się przejmować kontrolę.

Któryś z nich coś krzyknął, a Chandler ustawił się tak, żeby zasłonić mi widok; słyszałam tylko wrzaski i pisk rozszadający czaszkę. Mój wzrok stał się zamglony, a obraz pleców chłopaka – rozmazany.

I znów byłam w tym przeklętym centrum handlowym. Znów...

Nagle wszystko ucichło, a jedyne, co miałam przed oczami, to ciemność.

Zemdlałam.



Wciągnęłam powietrze tak głęboko, jakbym przez ostatnie parę chwil była pod wodą bez możliwości zaczerpnięcia oddechu. Z duszą na ramieniu i ze wspomnieniami krzyczącymi z tyłu umysłu zerwałam się do siadu. W panice zlustrowałam pomieszczenie i... odetchnęłam z niewielką ulgą, widząc Chandlera po przeciwnej stronie salonu.

Żył.

Zresztą ja też.

Co, u licha, się wydarzyło?

Ten dzień był przeklęty, przesiąknięty nieczystymi mocami i całym złem tego świata.

– Kim byli ci faceci i czemu mieli broń?! – zapytałam, przerywając ciszę. Gdy jednak usłyszałam własny głos, złę-
kłam się ponownie. Nie tyle przez ton, ile z powodu wypo-
wiedzenia tego, co chciałam, żeby było snem. Złym snem,
ale tylko snem.

Chandler przyglądał mi się ze skupieniem i z lekko ściąg-
niętymi brwiami.

Moje serce znów zaczęło mocniej uderzać w piersi. Nie
widziałam w jego ciemnych oczach nienawiści. Nie widziałam
w sumie nic. Był obojętny, taki... bezduszny, ale nie zły. Jakby
istniała tylko skorupa w postaci ciała, nic poza nią. Żadnych
emocji, żadnych uczuć.

– Jacy faceci i jaka broń? – burknął lekko rozbawiony.

Mogłabym się przez niego rozpuścić, lecz te słowa mnie
zmroziły.

– Jak to: jacy faceci?! Ci, co tu byli, jak przyszedłam! – wrzas-
nęłam, wyrzucając ręce w górę.

Prychnął i pokręcił głową, po czym bez słowa wyjaśnie-
nia ruszył do kuchni. Byłam tak zszokowana jego zachowa-
niem, nadal przestraszona całym zajściem i wręcz oziębiała
przez wszystkie uczucia kotłujące się w moim wnętrzu, że nie
ruszyłam się z miejsca. Utkwiłam wzrok w jednym punkcie
na ścianie i zastanawiałam się nad tym, co powinnam zrobić.
Powiedzieć o tym wszystkim Joshowi? Ojcu Chandlera?
Ten drugi zapewne znał tych gości, w końcu każdy wiedział,
że Mason już w młodości zadawał się z typami spod ciem-
nej gwiazdy.

Chłopak wrócił do salonu i postawił na stole szklankę
z sokiem pomarańczowym oraz pączka z różową polewą. To
przypadek, prawda? Na pewno. Przecież nie miał pojęcia, że
to akurat ja przyniosę dziś obiad.

Szlag, dla mojego serca to jednak było nieważne. Najważniejsze okazało się to, że pamiętał. Że nawet jeśli miał cholerne pączki – tak po prostu – wybrał z opakowania mojego ulubionego.

– Napij się i zjedz, żebyś znów nie zemdląła – powiedział beznamiętnie i usiadł w fotelu po przeciwnej stronie stolika. Przestał się we mnie wpatrywać. Spuścił spojrzenie na palce, którymi stukał o kolano.

– Mam anemię, a nie cukrzycę – burknęłam, ale sięgnęłam bez zawahania po szklankę. Upiłam kilka łyków, aż w końcu zebrałam w sobie odwagę, by dokończyć rozmowę. – Nie zamierzasz mi nic wyjaśnić?

Przygryzłam wewnątrz policzka, by się skupić na nieprzyjemnym, lekkim bólu, a nie na alarmujących wątpliwościach i tym, że w ostateczności będę musiała nakablować na Chandlera. Naprawdę martwiłam się jego bezpieczeństwem. Nawet gdyby mi powiedział, że jestem nikim, że mam się nie wtrącać do jego życia, że mnie nienawidzi, to nie zmieniłoby faktu, że jest dla mnie ważny.

– Właśnie przez to, że masz anemię. Najwidoczniej masz też halucynacje – odpowiedział bez zająknięcia.

– Bez przesady! – warknęłam. – Wiem, co widziałam! Nie rób ze mnie wariatki!

Poderwałam się na równe nogi i niestety zrobiłam to zbyt gwałtownie, bo zakręciło mi się w głowie. Natychmiast z powrotem opadłam na kanapę.

Chandler drgnął, jakby był gotowy rzucić się na ratunek, ale chyba nie miałam urojeń, bo kiedy odzyskałam ostrość widzenia, zobaczyłam, że siedzi w tej samej pozycji co wcześniej.

– Nie robię z ciebie wariatki. Po prostu musiało ci się coś przywidzieć przez anemię. I nie mów, że to niemożliwe, skoro jak najbardziej jest możliwe.

Zazgrzytałam zębami. Teoretycznie miał rację, lecz po pierwsze nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło. Po drugie to było zbyt silne i realne, żeby mogło zostać uznane za halucynację wywołaną niedotlenieniem mózgu.

Choć im dłużej Chandler zachowywał poważną minę, tym bardziej rosły we mnie wątpliwości odnoszące się do własnej poczytalności. Może faktycznie mi się wydawało? W końcu byłam zestresowana. To miała być moja pierwsza od ponad pięciu lat bezpośrednia interakcja z nim, a przecież nasza relacja rozsypała się przez tamtą cholerną strzelaninę. Czy mój mózg wszystko sobie wymyślił?

– Czyli... – zaczęłam cicho, wyciągając rękę po pączka. Oderwałam kęs i włożyłam go między wargi. Dopiero po przeżuciu i połknięciu kontynuowałam: – Nie było tu żadnych facetów z bronią?

– Nie – odpowiedział zdawkowo i wstał, po czym podszedł do okna. – Domyślam się, że Megan wysłała cię z obiadem, żebyś mogła uciec przed Candice – stwierdził, a nie zapytał, mimo to przytaknęłam. – Jak chcesz, możesz tu zostać. Ojciec raczej dziś już nie wróci, a ja też niedługo wychodzę – powiedział, odepchnął się od parapetu i ruszył w stronę wyjścia z salonu.

– Nie powinieneś się dziś ścigać – wydusiłam na bezdechu, zanim Chandler zniknąłby mi z pola widzenia.

Przystanął i spojrzał na mnie z uniesioną brwią oraz kpiącą miną. Zdecydowanie wołałam jego obojętność.

– Niby dlaczego?

– Bo na pewno jeszcze nie wytrzeźwiałeś.

Zaśmiał się i nonszalancko oparł ramieniem o framugę. Skrzyżował ręce na piersi, uwydatniając bicepsy. Stanowczo za długo patrzyłam na jego mięśnie i tatuaże pokrywające skórę.

Stał jednak wystarczająco daleko, abym nie dostrzegła szczegółów. A oczywiście okulary leżały zakopane gdzieś na dnie torby ze szkoły.

Dopiero wymowne chrząknięcie Chandlera przywołało moje spojrzenie do jego oczu. Nic jednak nie powiedział, tylko się we mnie wpatrywał.

– Nie możesz się ścigać pod wpływem – dodałam cicho, nawet nie usiłując ukryć zmartwienia. – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda – kontynuowałam niemal szeptem. Nie dlatego, że musiałam mu to wszystko powiedzieć, lecz dlatego, że przez twarz chłopaka w końcu zaczęły się przetaczać emocje.

– Martwisz się? – zapytał równie cicho, po czym zmrużył powieki i przechylił głowę, jakby za wszelką cenę chciał przeczytać z mojej postawy odpowiedź.

Ale ja nie musiałam ani kłamać, ani tym bardziej ukrywać prawdy.

– Oczywiście, że się martwię.

Przez jeden króciutki ułamek sekundy – dosłownie tyle, ile trwa pojedynczy trzepot skrzydeł kolibra – widziałam w ciemnych oczach Chandlera ciepły, pełen rozczulenia błysk. To było tak wyraźne, jakby nie dzielił nas dystans kilku kroków. Jakbym mogła się dokładnie przyjrzeć jego niemal czarnym tęczęwkom. Niestety, ta urocza iskra zniknęła tak szybko, jakby nigdy jej nie było.

Chłopak prychnął i przesunął koniuszkiem języka po wardze. Wyraz jego twarzy oraz cała postawa emanowały dystansem i chłodem.

– Gdybyś się martwiła, przychodziłabyś na wyścigi.

Zamrugłam i rozchyliłam usta, ale nim zdążyłam wydusić z siebie choć pół słowa, Chandler zniknął. Po prostu wyszedł

z salonu i ruszył na piętro. Ciężkie kroki odbijały się echem po domu.

Oparłam łokcie na udach i schowałam twarz w dłoniach. Natłok myśli zdawał się chętny do rozsądzenia mi czaszki, a serce ledwo wyrabiało z pompowaniem krwi i przetwarzaniem uczuć. Najgorsze było jednak to, że nie potrafiłam się skupić. Zamiast się zastanowić, czy faceci z bronią faktycznie istnieli, zamiast przemyśleć, czy pomimo podejrzenia o halucynacjach powinnam powiedzieć komuś coś na ten temat, myślałam tylko o Chandlerze. O tym, że w końcu mogłam mu się przyjrzeć. Zmężniał, wyostrzyły mu się rysy twarzy, na linii żuchwy pojawił się zarost, a spojrzenie jego pięknych oczu – niegdyś tak urocze i niewinne – stało się drapieżne i mroczne.

I choć przez te wszystkie lata na niego patrzyłam, dopiero teraz dostrzegłam te zmiany. Pewnie dlatego, że trzymałam dystans i nie pozwalałam sobie się do niego zbliżyć. Teraz nie zachowywał się tak, jakby ta wizyta stanowiła najlepszą część jego dnia, ale również nie wyglądał na wkurzonego moją obecnością...

A co, jeśli to ja zniszczyłam naszą przyjaźń? Może odsuniecie się, gdy nie chciał mnie w swoim życiu, było błędem? Przecież wtedy cierpiał, opłakiwał matkę. Z jego ust padło dużo przykrych słów, lecz czy wszystkie nosiły miano szczerych?

Kiedy moich uszu dobiegł cichy szum, zrozumiałam, że chłopak postanowił wziąć prysznic. Uznałam więc, że najwyższa pora się stąd ewakuować. Z niemałym ociąganiem wstałam z kanapy i powoli ruszyłam do wyjścia, tym razem dając sobie czas na przyjrzenie się fotografiom zawieszonym na ścianie w korytarzu.

Uśmiechnęłam się na widok jednego z wielu zdjęć, ale dla mnie wyjątkowego, bo byłam na nim z Chandlerem. Ja i on z uszami Myszki Miki na głowach. Razem. Uśmiechnięci. A w tle pałac Kopciuszka. Niemal się roztopiłam ze szczęścia. Mógł je ściągnąć ze ściany, a jednak nadal tu wisiało.

Może nie wszystko było stracone? Może istniał cień szansy na odzyskanie przyjaciela?

Może...

Zawsze lepsze jest może niż niemożliwe, prawda?